Ner 21. Kraków, 27go Maja. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cént. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zob. Nr. 1, 2, 4, 7 i 15).

Język nasz jest najświętszą puścizną, a hańba temu, kto tej świętości cenić nie umie. Zatem Polak i Polka przedewszystkiem język swój i piśmiennictwo swoje poznać winni. Pięknym, dźwięcznym, bogatym i oddającym wszystko dobitnie, jest język polski, ktokolwiek tylko *zechce* i *umie* prawdziwie piękno jego znać i zrozumieć. Uczony jeden Niemiec, przebywający długo w Polsce, nauczył się języka naszego, zgłębił go i wyrzekł: „Język polski jest językiem wielce filozoficznym, i możnaby go obok greckiego postawić.“

Czcijmyż ten klejnot bezcenny i przechowujmy w sercu naszem i duszy. Matko-Polko wlej dlań miłość w dziecię swoje, bo ty w niem najpierwszą, błogosławioną rozdmuchujesz iskierkę: ty uczysz je kochać Boga, kraj swój i braci! A młodzian który na palec córki twojej ślubną włoży obrączkę, aby z poetą powtórzył:

„Lecz ciebie ukochałem ponad wszystko w świecie,
„Boś ojczystą nad inne polubiła mowę.“

Przeto od niewiast polskich, od matek zależy, by język nasz ukochany zaniedbaniu nie uległ — by nad nim obcy nie wygórował. Od matek zależy, by na zawsze przechowało się to zdanie naszego Libelta: „Kobiety szczególnie w swobodzie płoche i lekkie, miewają często więcej wytrwałości i męztwa w nieszczęściu. Nieobliczając, ale czując głęboko, wiernemi pozostają obowiązkom z tego uczucia płynącym, czy to w domowych czy w krajowych klęskach. Nie znajdziesz między niemi, tak jak między mężczyznami, zdrajców kraju, obmierzłych wyrodków ojczyzny“ *).

Niepodobna obcego nauczyć się języka niemówiąc nim wiele, i też nikt matce i nauczycielce za złe nie weźmie, gdy z dziećmi po francusku mówią. Niechaj wszelako nie rozmiłują się w nim, a przez to nie odtrącą własnego. Niechaj język francuski nie stanie się dla nich chlebem powszednim. Nikt przeto nie weźmie za złe rodzicom, jeżeli dla wprawy z dziećmi w domowem pożyciu po francusku mówią — ale konwersacya salonowa, głośna, imponująca, z napuszeniem i zarozumiałością prowadzona, razi zwykle, a niekiedy na *impertynencyą* zakrawa, jeżeli ma miejsce w obec osób, które nie posiadają języka francuskiego, albo też mało nim mówią. A któraż osoba dobrze wychowana, wykształcona, mająca rozum i serce, zechce, by jej zarzut tak bezwzględnej uczyniono niegrzeczności? Bywa to niekiedy z nawyknienia prostego, to więc niekorzystnych dla nas unikajmy nawyknień — a jest zawsze wadą wychowania i przechodzi z czasem w zupełny zwyczaj i obyczaj, w czem serce — chciejmy wierzyć — żadnego nie bierze udziału, i myśl nie zastanawia się wcale, o ile taki zwyczaj jest nagannym w obec kraju i ziomków. Są wszelako i tacy, którzy udają, że nawykli do francuczyzny i bez niej obejść się niemogą — na czem od razu poznać się łatwo, i taki... *lafiryndyzm*, w wysokim stopniu staje się śmiesznym, że i mówić tutaj o nim nie warto.

Ks. biskup Łętowski w dziele swojem: *Katalog biskupów, prałatów i kanoników*, wyrzekł: „Spotykasz na ludzi godnych, nieumiejących mówić do ciebie i listu napisać poczciwie po polsku, a mających dopiero rozum, gdy poczniesz z nimi mówić po francusku. Pierwszy talent co odbieramy z rąk Stwórcy, jest mowa rodzinna. Sługą niegodziwym jest kto go zakopał. Mowa rodzinna jest kluczem do wspólnictwa z oną rodziną, której Pan Bóg chciał nas mieć członkami.“

Jest nader ładnie gdy panienka wdzięcznie po francusku wysłowić się umie — ale niechaj tą swoją umiejętnością na wszystkie nie rzuca strony, niechaj jej nie przeceni, a zlekceważy język ojczysty. Bo wtedy, chociażby mówić umiała tak, jak *George Sand* pisze, to każdy Polak zarzucić jej może: że *paploce*, że *parluje*, że jest sroczką zobczałą dla świętości swojej ziemi.

Umiejmy ładnie mówić po francusku, ale nie przejmiejmy się tą myślą, że francuczczyzna nadaje nam jakąś wyższość; że gadając ciągle po francusku, okażemy ród wyższy, wychowanie wyborne, ton dobry — i że li-tylko w towarzystwach przebywamy wybranych. A to jest myśl wielce omylna. Dzisiaj po wielkich miastach panny w kantorach, w kaffehaus' ach — w warszawskich magazynach i ogródkach częstokroć wcale ładnie po francusku szczebiocą.

Prawdomowny Stefan Witwicki, karcący tę *francuzomanią* i *lafiryndyzm* z całą goryczą, napisał w swoich *pamiętnikach*: „Taż właśnie *mes respectables Françaises du nord*, szanowne *Lafiryndy*, zawżdy była cecha doskonałej ślepoty tego lub owego narodu, tej lub owej epoki, iż ludzie goniąc za tem, co złe i zgubne, zaniedbują co dobre i potrzebne, nie dostrzegając go nawet.“ A potem w usta kładzie jakiejś *Lafiryndy* taki wykrzyknik: *„Qu' elle idée baroque! ce monsieur nous conseille d'apprendre les langues des chłopy et des juifs; est-ce pour causer dans les karczmy?*

Jest to może nieco przesadzone, ale jest i prawda.

U wód zagranicznych poszło nas kilka osób do *Kursaal'u* na herbatę. Na drugim końcu salonu siedziało towarzystwo jakieś świeżo przybyłe, i doleciał nas niby

*) *Dziewica Orleańska*, przez Karola Libelta.

dźwięk ojczystej mowy. W tem zbliża się dyrektor miejscowy, Niemiec, i zapytujemy go: czyli to nie są Polacy? — „Zapewne, że nie — odpowiada — bo nie rozmawiają po francusku, są to raczej Czesi.“ — Dotknęła nas cierpko ta przymówka — i rzeczywiście była to jakaś rodzina czeska.

Jest dziś koniecznością znać język francuski — nietylko ze względu salonowego świata, lecz i dla ważniejszych powodów — i bez świadomości języka francuskiego niemasz umysłowego wykształcenia.

Umiejętność kilku nawet języków nie powinna bynajmniej wpływu niekorzystnego na język rodzimy wywierać, który zawsze najpierwszym dla nas być winien.

Język niemiecki, prócz zapoznania się z piękną i bogatą jego literaturą, jest nam potrzebny w powszednich, w zwyczajnych stosunkach życia, zwłaszcza też w podróży.

Nauczmy się o tyle języka angielskiego, ażebyśmy spotykane po dziennikach nazwiska wymawiać i przytaczane frazesa zrozumieć umieli. Toż samo i o włoskim powiedzieć można.

Literatura angielska podobno że najpierwsze trzyma miejsce. Jeżeli jej dla braku znajomości języka w oryginale poznać nie możemy, dostarczy nam literatura niemiecka licznych a dobrych przekładów. Polskich nie mamy zbyt wiele, ale te, które mamy, są piękne i wierne. Francuskie takich zalet nie posiadają.

Nauczmy się przeto obcych języków, ale podstawą wszystkiego niechaj będzie nasz ojczysty. Ukochajmy go całem jestestwem naszem, nietylko dla tego, że jest piękny, dźwięczny i bogaty, ale że jest naszym: że w nim dla nas obecnie zawiera się niemal wszystko. Powiedzmy sobie: że występkiem by było tę drogą zaniedbywać *relikwią*.

O ile zaś owa *pstra gadanina*, w której jedno słowo jest francuskie a drugie polskie, staje się śmieszną i niedorzeczną, tego już i niepotrzeba rozbierać. Ztąd rodzą się owe dziwolągi i karykaturalne dwuznaczniki że ktoś na czyimś *nosie (noce)* bawił się dobrze — a ktoś drugi znowę przy czyimś siedział *kocie (coté)*.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

Dziwny bardzo powód nakłaniał niby koniecznie Zygmunta III, aby nie Żółkiewskiego ale Sapiehy rady posłuchać, tj. nie w głąb Moskwy, ale do Smoleńska naprzód uderzyć. Powodem tym był skrupuł, że zajęcie Smoleńska, jako swojej własności, w r. 1514 zdradą Michała Glińskiego Moskwie wydanej, nie będzie tak wprost wstępnym bojem i zaczepnem wtargnięciem, jakiemby było zwrócenie się wprost ku stolicy. Wyruszono więc wojennym pochodem i oblężono Smoleńsk. Skutki złego planu ukazały się natychmiast. Smoleńska nie można było zdobyć. Polacy pod Samozwańcem walczący przelękli się i nasrożyli wielce na wieść o rozpoczęciu wojny z Moskwą, widząc przez to udaremnienie wszystkich swoich Dymitrowi fałszywemu zrobionych zasług, za które zapłaty od niego się spodziewali. Teraz zaś, gdy widzą, że Zygmunt przeciw niemu idzie, tracą wszelką nadzieję obiecywanych sobie korzyści, i dla tego przez złość na króla, przez dumę, którą w moskiewskich szeregach imponowali, a czegoby pod chorągwiami polskiemi robić nie mogli, nie bacząc na żadne polityczne stósunki, zaprzysięgają aż do śmierci nie odstąpić swego wodza-oszusta. Wyprawili posłów do króla pod Smoleńsk: Dudzińskiego, Marchockiego, Sladkowskiego, Różniatowskiego i Ureckiego z groźnem a grubiańskiem naleganiem: „aby król roboty ich nie mieszał; inaczej ani króla za pana, ani braci za bracią, ani ojczyzny za ojczyznę mieć nie będą.“ I otóż to bolesny widok upadłych dusz, które się struły upojeniem rozkosznej dumy, i widokami ziemskich najmarniejszych, bo ze szkatuły wroga uśmiechających się korzyści.

Dla wyrozumienia jednakże usposobień wojska Dymitra samozwańca, a mianowicie tego, które pod wodzą Zborowskiego, Mniszcha i Różyńskiego zostawało, wysłał król do obozu ich Rusieckiego z Buczyńskim, którzy wkrótce powróciwszy, najpomyślniejszą odpowiedź przynieśli. Opowiedzieli oni Zygmuntowi wszelką gotowość Polaków złączenia się z nim do boju, oraz rzeczywistą nieprzychylność Rożyńskiego i Sapiehy ku oszustowi, którzy mając wielką sposobność zwalczenia Szujskiego kilkakrotnie, wyraźnie ją pomijali rozmyślnie. Tak więc uwiadomiony król o wszystkiem, wyprawia poselstwo do Szujskiego wraz z listami do panów moskiewskich i metropolitów, ostatnim mianowicie zapewniając zupełną wolność wyznania i obrządków greckich, obok przywróconego spokoju w Moskwie i oczyszczenia tronu z oszustów i samozwańców. Do Szujskiego zaś posłowie królewscy mieli tę szczególniej instrukcyą, aby mu „wyłożyli przyczyny wojny przeciwko niemu przedsięwziętej. Że prawo narodów od Szujskiego zgwałcone w osobie posłów; zawarte przymierze od jego poprzedników potargane; wylana krew tylu polskiej szlachty pomordowanej; namówieni od niego Tatarowie na plondrowanie Podola i Rusi; Karol Sudermański szwedzkiej korony uzurpator a polskich Inflant najezdnik, ludem i pieniędzmi wspomagany.“ Mieli także owi posłowie tajemne instrukcye do wojska aby je nakłaniać, iżby raczej dla ojczyzny swej kraje wywalczali, aniżeliby jakiemuś oszustowi krew swoją poświęcić mieli. „Do oszusta nie dał król żadnych zleceń posłom, mając za rzecz niegodną czynić taki honor obłuanikowi, który ze wszystkiemi carskiemi tytułami Szujskiemu oddał.“ Posłowie tedy wyruszyli w drogę, a król Zygmunt III oczekiwał ich odpowiedzi, w miarę której ułożyć miano dalszy plan postępowania.

XVII.

Podczas pobytu fałszywego Dymitra w Tuszynie, gdy wielu z Moskali dla tego tylko do niego się garnęło, aby stanąć przeciw znienawidzonemu Szujskiemu, gdy z Polski wieści dopiero dochodziły do Moskwy o przygotowywaniu się króla do wojny — przestraszony Szujski, iżby się jego tron carski nie zachwiał, imał się różnych pochlebnych środków, aby o ile możności zjednać sobie jak najwięcej zwolenników. I tak: dla odwrócenia gniewu Zygmunta III, którego wojsk się obawiał, wypuścił trzymanych dotąd w więzieniu posłów polskich, jako też Jerzego Mniszcha z córką Maryną, i otoczywszy ich dla bezpieczeństwa silną strażą, odesłał do granic litewskich. Uradowani wolnością posłowie, a kochający nadewszystko Polskę swoję, Oleśnicki i Gąsiewski nie oglądając się na Mniszchów, puścili się najkrótszą drogą do domu, i nigdzie niedoznawszy szwanku, szczęśliwie podróż swą odbyli. Inaczej zrobił Mniszech, a za nim jego córka Maryna. Tych ludzi, rzecby można, opętał bies pokusy, tak, że wszystkie ich myśli i uczucia zmącone ziemską namiętnością, zagłuszyły w nich wszelkie najświętsze obowiązki serca. Już teraz o wszystkich onych pięknych przymiotach duszy Maryny, w jakichśmy ją aż do koronacyi w Moskwie widzieli kwitnącą, ani słowa spomnieć się nie

godzi — wszystkie one już zgasły, może przy jaśniejszym od nich blasku dyamentów korony carycy; serce Maryny, to nie serce Maryny carowej! Ileż odmiany! Wszystko co dotąd ogrzewało duszę tej nieszczęsnej Polki — zastygło, zamarzło, a pozostał tylko jeden nieugaszony ogień ogarniający całą jej duszę i całe serce, ogień piekielnej namiętności, która swoją nieograniczoną władzą wszystko piękne i zacne w duszy i sercu Maryny spaliła, na zgliszczach tego wszystkiego stawiając stos niezliczonych ofiar wymagający. Więc na ten stos złożyła Maryna w ofierze swej namiętności, swojemu nowemu Bogu, najprzód całą przeszłość swoją. Wyrzekła się całej swej młodości, swych uczuć ku ziemi rodzinnej, zagłuszyła okropnie dręczący głos sumienia, i jedną tylko żyjąc pamięcią swej uroczystej koronacyi, wiedziała że jest carycą, bo to przekonanie było najlepszą podnietą do utrzymania przy życiu owego ognia namiętności — namiętności, nam Polakom niestety! tak wielce nieszczęsnej — dumy bez granic i chęci panowania. I otóż bolesny obraz upadku człowieka, któryby mógł niezawodnie zabłysnąć wielkiemu światu, gdyby nie był dał się opanować dumie. Tak upadła Maryna, tak upadł nieszczęsny jej ojciec. Duma nie pozwoliła Marynie ani na chwilę zapomnieć o carskim tronie, i usiłowania jej wszystkie, zgodne z usiłowaniami jej ojca, skierowała do tego, aby ten tron koniecznie odzyskać. Słyszał Jerzy Mniszech, słyszała i Maryna, że w Tuszynie stoi obozem jakiś Dymitr, uchodzący za prawdziwego, ale oboje dobrze wiedzieli, iż jest fałszywym oszustem, iż tylko nikczemnie się podszył pod to nazwisko zamordowanego cara. Jednakże pomimo to umyślnie tak podróż swoję zwłóczyli, tu i owdzie niby objeżdżając, aż ich z Tuszyna wysłani Zborowski i Stadnicki dogonili, straży przez Szujskiego przydanej odbili i do obozu zawiedli. Wszystko to się stało z rozkazu Sapiehy, który Zborowskiego i Stadnickiego wysłał z obozu tuszyńskiego za Mniszchami. „Na pierwsze spojrzenie nie mogła Maryna ukryć zadziwienia swego, na widok człowieka nie mającego żadnego podobieństwa z tym, którego imie przybrał. Nie okazała ona tych uniesień radości, które wzbudzać był powinien powrót osoby mianej za straconą; opłakiwanej gorzko: spotkanie było zimne i krótkie, po którem obydwie strony udały się do mieszkań swoich.“ Scena ta, jako najwiarogodniejszy dowód fałszywości Dymitra II, przecież za upadającą już, ale jeszcze nie upadłą Maryną, przemawia. Jeszcze widać, głos sumienia znaczył u niej cośkolwiek, kiedy odrazu nie czuła się dość mocną do zadania własnemu sercu fałszu; dowodzi ona także, jak wielką i szczerą była miłość Maryny do prawdziwego Dymitra, skoro jej nie mogła tak łatwo poświęcić dla interesu, ani nawet dla owej nienasyconej dumy. Scena ta zrobiła wielkie wrażenie na zwolennikach Dymitra II. Byłaby może wywarła przeważny wpływ na zerwanie wszelkich z nim stósunków, gdyby nie rozum w postaci biesa, usłużny swemi radami, który staremu wojewodzie podszepnął, iż skoro raz był ojcem carowej, niechże nim będzie już zawsze. Więc stary wojewoda radząc się z Sapiehą i widoki znowu wielkie układając, postanowił nakłonić córkę do tego, aby oszusta, samozwańca, uznała za prawdziwego swego męża! Do czegóż ta duma nie doprowadzi człowieka? Pozbawiwszy go wszystkich uczuć, ciska nim później jak cackiem na swoje pośmiewisko, a on oślepły jej blaskiem hołduje jej jak Bogu! Więc polityczne widoki Sapiehy, żar zemsty wszystkich Polaków, a nadewszystko duma Mniszcha i Maryny zwyciężyły nareszcie w dość długo trwającej walce między uczciwością a zbrodnią. Tak: zbrodnią — bo wszystko co później Maryna zrobiła nosi na sobie piętno zbrodni — bo wszystko jest owocem natchnienia piekielnej dumy. A jeżeli duma mężczyzny zbrodnią się często zwać może, stokroć prędzej nazwę dumę niewieścią zbrodnią, bo niewiasta dumna, to więcej światu szkodzi, niż inny jaki pospolity zbrodniarz. Duma zresztą zupełnie nie jest właściwą niewiastom, a mianowicie Polkom. „W dni kilka po pierwszem spotkaniu powtórnie Samozwaniec odwiedził Marynę; naówczas wszystkie uczucia, których tkliwa żona po odzyskaniu ulubionego małżonka doświadczać może, okazała wyniosła kobieta. Łzy radosne, czułe uściskania, rozrzewniły, czyli raczej rozrzewniać zdały się tych, którzy oszukanemi być chcieli. By jednak zaspokoić wewnętrzne bodźce sumienia, spowiednik Maryny, Jezuita, dawał ślub potajemny temu osobliwemu stadłu.“ Więc wszystko poświęciła dla dumy! I przyzwoitość, i wiarę sakramentalną! I ojciec jej, ten siejbiarz złego nasienia tej dumy w jej serce, cieszył się skutkami swej namowy!

I jakież wrażenie zrobiły te fałsze w Polsce? Bolesne spomnienie utraconej rodziny, żal nad upadkiem kobiety i walka zemsty z całą Moskwą: oto wrażenia, które ożyły w sercach prawych i dobrze myślących ludzi. Że jednak nie zbywało i na takich, którzy i w drugiego Dymitra wierzyli, na dowód tego posłużyć nam może wiersz ks. Stanisława Grochowskiego napisany na cześć ocalenia Dymitra po buncie na jego życie dokonanym. Oto niektóre jego strofy:

Rycerstwo polskie, więźniowie strapieni,
I sędomierski wojewoda z niemi,
Wznieście w niewoli ciężkiej swojej głowy:
Car Dymitr zdrowy!

Ten ma was wyrwać zmiennikom z paszczęki,
Macie oddawać za co Bogu dzięki,
Który wasz smutek w wesele obrócił,
Dymitra wrócił. itd.

Brudneby to było pochlebstwo zapewne i pióra ks. Grochowskiego nie godne, gdyby w Polsce nie było choć cząstki tej wiary, jaką tu autor najrzeczywiściej w całości wynurza. Co jednak bardziej zadziwiającą jest rzeczą, to Kaspra Miaskowskiego rytmy na tęż samę okoliczność pisane. Ten poeta tak znowu opisuje powrót utraconego Dymitra. Słowa swe stósuje do Maryny:

A twoje skronie wieńcem radość toczy,
Kiedyć Dymitra stawiła przed oczy,
A on do ciebie szczęsną ręką spieszy,
Tak swe Bóg cieszy!

Jakie tam wtenczas wylewały zdroje,
Gdy się witały źrenice oboje!
Patrzałeś na te staruszku podczciwy
Słodkie tam dziwy!

Nieco zaś dalej przemawiając do Dymitra tak się wyraża:

A ty Dymitrze siądź na stolec carski,
Ostrożniey wodze w dłoni dzierżąc darski*),
Wiedząc komu masz zwierzyć twego boku,
A y obroku.

*) dziarskiej.

Słabnie jednakże natchnienie tej wiary w prawdziwość zmartwychwstania Dymitra, w dalszych wierszach Miaskowskiego, gdy już nieco ostrzej do niego przemawia:

Miłuj krew polską y grodź się iey płotem,
Żebyś nie przyszedł na pierwszy hak potem;
Bezpieczny (wierz mi) uśniesz w tym ogrodzie,
Mądry po szkodzie.

W epigramacie zaś na tegoż, wiara ta przechodzi w powątpiewanie:

Jeźli to pewna wieść o Dymitrze,
Że żyw y w Carskiej chodzi zaś mitrze:
Toć go tak szczęście z nieszczęściem wytrze,
Że nań nierychło śmierć potem przytrze!

W innym nawet wierszu tak się o nim wyraża:

Dymitrze! ieźliś umarł, leż spokoynie w grobie,
A nam cień twóy niech więcey nie baie o tobie!

W ogóle więc Miaskowski wacha się z wiarą swą, jak widzimy, a jeżeli i w całej Polsce tak przyjmowano wieści o ocaleniu Dymitra, pochodziło to raczej z miłości braterskiej ku tylu Polakom, którzy z Mniszchami uporczywie stronę oszusta trzymali. Dobrzy ziomkowie, nie chcieli przypuścić, aby ich brat dał się unieść tak daleko zawziętej i nienasyconej dumie! *(C. d. n.)*

KUPIEC WENECKI *)

Dramat podług Szekspira w 5ch aktach **).

Akt 2gi.

Belmont — Sala w pałacu Portii.

SCENA I.

Portia. Neryssa.

Portia.

Nerysso moja, wielce mi się nudzi
W tak wielkim świecie, wśród tak małych ludzi.

Neryssa.

I słusznie pani, gdyby ten co w niebie,
Uszczuplił dary które zlał na ciebie.
A przecież nadmiar, skąpy lub rozrzutny,
I niedostatek, jest zarówno smutny;
I z rąk fortuny ci co nadto wzięli,
Są nieszczęśliwi, jakby nic nie mieli.
Kto ceni mierność, znajdzie w niej pożytek;
Ubóstwo skromne dłużej trwa, niż zbytek.

Portia.

Roztropna myśl, choć w główce twej zawarta.

Neryssa.

A gdy spełniona, czy nie więcej warta?

Portia.

Kto dobrze radzi, często sam źle czyni;
Niejedna kruchta lepsza od świątyni,
A wiejska strzecha od pańskiego progu.
Ten kaznodzieja, co sam żyje w Bogu.
Stu różnym ludziom bym radziła raczej,
Niż była jedną z moich stu słuchaczy.
Daremnie żądzy mózg nadaje prawa,
Lód jego stopi krwi gorącej wrzawa;
Rozsądek starzec nad młodością zrzędzi,
A ta, jak szermierz, w sieć tamtego wpędzi:
Tak zawsze cnotę płochy szał zwycięża.
Lecz cóż mi z tego do wyboru męża?
Wyboru! czy mi godzi się wybierać?
Czym nie powinna czucia się zapierać,
I oddać rękę z mym majątkiem razem
Związane ojca groźbą i rozkazem,
Jak w losowaniu fant lub worek złota?
Czy ty pojmujesz co to za tęsknota,
W dwudziestym roku widzieć się niezdolną,
Lub słuchać serca, lub pozostać wolną?

Neryssa.

Cnotliwi ludzie gdy nad grobem stają,
Przy śmierci dobre też natchnienia mają;
A ojciec pani był to człowiek święty.
Więc w tej loteryi w skrzyniach trzech zamkniętej
Z ołowiu, srebra, złota, kto wybierze
Właściwą skrzynię, ten ze wszech miar wierzę,
Iż będzie godzien szczęścia i miłości.
Lecz jaką skłonność czujesz dla tych gości,
Co serca pani jak dłużnika strzegą?

Portia.

Nazwiska wymień; ty z opisu mego
Sądź, jak pomyślnem będzie ich małżeństwo.

Neryssa.

Więc z Neapolu książę ma pierwszeństwo.

Portia.

To młody źrebiec; wciąż o kursach prawi,
Kuć konie, siodłać, to go jedno bawi:
Snać księżna matka, z której się przechwala,
Musiała się zapatrzyć na kowala.

Neryssa.

A pan podstoli, magnat ów z Krakowa?

Portia.

Pod dumnem czołem myśl nie zawsze zdrowa.
Zmarszczony wiecznie, jakby chciał powiedzieć:
„Mnie pani wybierz; nie, to proszę siedzieć.“
Uciesznych bajek słucha bez uśmiechu,
I wesołości chroni się jak grzechu;

---

*) Wiersz użyty w tem dziele jest ten sam co w oryginalnym dramacie (pentameter jambowy), z dodaniem końcówki. Tłómaczenie dyalogu, pomimo zwięźlejszego układu niektórych scen, jest prawie dosłowne. K. O.

**) P. Krystyn Ostrowski, znany tłumacz na język francuski poezyj naszego Mickiewicza, wykończył właśnie nowe dzieło sceniczne p. t.: „Kupiec Wenecki“, które podług Szekspirowskiego pięcioaktowego dramatu pod tymże tytułem, w trzy akta ułożył. Korzystając z udzielonego nam rękopisu, podajemy tu początek aktu drugiego. *Bassanio*, na którego przybycie czeka występująca w tej scenie *Portia*, jest najlepszym przyjacielem *Antonia* kupca z Wenecyi. *Bassanio* będąc w potrzebie pieniędzy, chciał pożyczyć 3000 dukatów od *Antonia;* lecz ten, choć bardzo majętny, nie miał przy sobie takiej summy, bo wszystko włożył w towary w bogatych opływające okrętach wszystkie porty południowego morza. Nie mogąc jednakże sam wygodzić przyjacielowi, nastręcza mu żyda Szajloka, u którego sam pożyczyć nie może z powodu, iż tenże wiedział o jego ku sobie nienawiści. Szajlok, żyd, niegodziwy lichwiarz, przystaje, ale warunek pożyczki podaje taki: Gdyby mu *Antonio* w oznaczonym czasie nie oddał, żąda za to funt jego mięsa, który mu będzie wolno wykroić z miejsca z jakiego będzie chciał. Przystaje na to *Antonio*; już po upłynionym terminie ma uledz oznaczonej karze, kiedy go sama *Portia*, narzeczona *Bassania*, wymową swoją i złotem ratuje. Oto jest intryga tego dramatu. Rozwiązanie jego Szekspirowskie, stanowi treść 5ciu aktów wielkiego utworu. Podaliśmy ją tu dla tego, aby szanowne czytelniczki przynajmniej z ogólnem tłem tego arcydzieła zapoznać. P. R.

Na filozofa wyjdzie w swej starości,
Gdy już za młodu życia nam zazdrości.
O! trupią głowę wolę, żart na stronę,
Niż takie dwie, choć jaśnie oświecone.

Neryssa.

A pan margrabia, co się z nim założył?

Portia.

To człowiek, zgoda; gdyż go Bóg utworzył.
Wiem, że z bliźniego szydzić nie przystojnie;
Lecz ten! wie wszystko, był na każdej wojnie,
Brwi marszczy piękniej, niż sam pan podstoli,
Mieć koni lepszych księciu nie pozwoli:
Tłum ludzi w jednym. Kiedy drózd zanuci,
On zaraz w kozły; z cieniem swym się kłóci,
Z tym jednym mężem będę mieć dziesięciu.
Przebaczę wzgardę, jak włoskiemu księciu,
Lecz nigdy miłość, jeżli mnie się imie.

Neryssa.

A lord angielski, jak mu tam na imie...
John Faulconbridge... zmyliłam się zapewne.

Portia.

Nazwisko piękne, Faulconbridge, i śpiewne!
Nie mówię z nim, bo się nierozumiemy.
W łacińskiej, włoskiej lub francuskiej, niemy;
A że angielska mowa mi nieznana,
Więc do oświadczeń trzeba mu drogmana:
I to mnie dziwi, jak chcąc się zrozumieć,
Anglicy mogą własny śmiech przytłumić.
Uczciwe serce w nim się stracić boję;
Lecz kto z posągiem gada? co za stroje!
Z Paryża kaftan, z Włoch odzienie spodnie,
Kapelusz z Niemiec... więc ubrany modnie.

Neryssa.

A baron szkocki co przy lordzie siada?

Portia.

Uprzejmy sąsiad. W twarz wziął od sąsiada
I przysiągł oddać. Ten go pięścią wybił,
Zaręczył Francuz, lecz w terminie chybił.

Neryssa.

A młody Niemiec, wnuk saskiego księcia?

Portia.

Pijany, wart coś więcej od bydlęcia,
A od człowieka trochę mniej, gdy trzeźwy;
Przy stole tylko jest zanadto rzeźwy.
Cokolwiekbądź, nie złowi mię to zwierze.

Neryssa.

A jeżli zechce wybrać i wybierze;
Czy pani woli ojca się sprzeciwisz?

Portia.

Wyborem lepszym ty go uszczęśliwisz;
W jałowe skrzynie, na przypadek wszelki,
Reńskiego wina włożysz dwie butelki:
I choćby szatan wabił go do trzeciej,
On do nich pojdzie, gdy go woń zaleci.

Neryssa.

Nie masz potrzeby pani się obawiać
Tych adonisów; bo mi zwykli mawiać,
Iż w losowaniu choć im się poszczęści,
Odjadą zaraz na trzy świata części,
I swemi hołdy już cię nie chcą trudzić,
Gdy niezdołali twej miłości wzbudzić.

Portia.

Szczęśliwa droga! bramę każ otworzyć;
Bo choćbym miała lat Sybilli dożyć,
Tak czystą umrę jak bogini nocy,
Nim który żywcem zyska mię z przemocy.
Z pomiędzy wszystkich których mi nasłano,
Los wybrał trzech, i ci tu wkrótce staną;
Przed nimi złożym te fatalne skrzynie.

Neryssa.

Pamiętasz pani o Wenecyaninie,
Przystojnym, zręcznym, ba i literacie,
Którego stryj markizem w Montferacie?

Portia.

Czy nie Bassanio? wszak się tak nazywał.

Neryssa.

Za życia ojca jeszcze tu przebywał.

Portia.

A tak, pamiętam. W stroju choć żałobnym,
On sam do ludzi jakoś był podobnym.
Naukę lubię w innych jak i w sobie,
I kiedy mogę, skroń jej laurem zdobię;
Mam książek wiele w starej tej framudze,
Prawniczych nawet, czytam gdy się nudzę.
Znam kodex, mówię po łacinie czysto,
I kiedyś dobrym stanę się jurystą.

Neryssa (śmiejąc się).

Ha, ha! kto? pani? chciałabym ją widzieć
W sądowej todze!

Portia.

Źle z nauki szydzić...
Wszak i ty często nad romansem ziewasz;
To będzie pierwej niżli się spodziewasz,
I w adwokata gdybym się przebrała,
Przed samym dożą proces bym wygrała.

Neryssa.

Nim przed kratkami staną jej tyrany,
Z Bassaniem proces pewno już wygrany.

SCENA II.

Też. Stefano.

Portia.

Cóż nam doniesiesz?

Stefano.

Po zwodzonym moście
Z orszakiem licznym trzej tu jadą goście...

Portia.

Nerysso, słyszysz?

Stefano.

Jeden bej z Marokko,
Z obliczem żółtem, z kitą tak wysoką;
Z nim z Aragonu książę, czy z Grenady...

Portia.

Czy także żółty?

Stefano.

Nie, jak całun blady,
I trzeci także chce się widzieć z panią;
Lecz ten rumiany.

Neryssa (na stronie).

Trzeci, to Bassanio.

Portia (u okien).

O nieba! choćby lew ten afrykański
Miał duch anioła w piersi swej szatańskiej,
Niech zdejmie z twarzy kolor jej niestarty
Nim jego będę.

Stefano.

Jest i Szylok czwarty.

Portia.

Co? Szylok u mnie? tego już za wiele!
Jam mu niedłużna, lichwą się nie dzielę;
Więc czego żąda? przyjąć i zakadzić.

Stefano.

Czy mam ich razem wszystkich trzech wprowadzić,
Czy po kolei?

Portia.

To mi jedno prawie;
Niech razem wejdą, razem ich odprawię.

Neryssa.

Ach, pani! każdy do drugiego skoczy,
Przeszyje serce, lub wydrapie oczy!

Portia.

Po ciemku znajdą i wybiorą lepiej,
Gdy ślepa miłość oczy ich zaślepi.

Neryssa.

Jak w ciuciubabce. Będziem mieć trzech króli
Przed wielkanocą. Byle się nie struli,
Gdy migdał ślubny jeden z nich dostanie.

Portia.

Ach, ty mię straszysz! Niech co bądź się stanie,
Posłuszną będę na wyroki nieba;
Chodź przebrać mię: wystąpim jak potrzeba.

PROTEKCYA I INTRYGI,

USTĘP z ŻYCIA ZNAKOMITEGO

RZEŹBIARZA

w Polsce z wieku XV.

(Ciąg dalszy).

VI.

Dobrze by to było.

Po odejściu Wita, Jegomość Pan Jacenty zrzuciwszy strój od wyjścia przywdział na się hałat domowy, i przed stolikiem swoim usiadłszy, zaczął nad czemś bardzo przemyśliwać. Miał bowiem dość bolesną wiadomość od jednego z swych dłużników, który mu był winien 1500 złp. Dłużnik ten spalił się zupełnie. Nędza i rozpacz były jego jedynym kapitałem. Burmistrz nie widział żadnej spiesznej rady. Ludzkość — żal pieniędzy — złość i litość czasem staczały walkę w jego duszy. Z temi turbując się myślami, nie spostrzegł, że przy nim stała już chwilę jego córeczka przymilając się mu, jak gdyby z jaką prośbą.

— To ty moja duszko? zawołał spostrzegłszy Zosieńkę przy sobie.

— Już chwilkę tu stoję, drogi mój ojcze, odrzekła córka, i bardzo mię to boli, że widzę was wielce zaturbowanego. Co macie drogi mój ojcze przykrego na myśli?

Słowa te przywróciły Panu Jacentemu i spokój i humor. Rzekł więc — nic Zosieńko moja, nic, spracowałem się dzisiaj nie mało, a do tego ten natrętny gość dzisiejszy tak mię unudził, żem wyraźnie osłabł, i oddawałem się tak myślom spokojny.

— Jakto, drogi ojcze! zapytała się z dziwnie pozorną troskliwością Zosia, gość dzisiejszy mógł cię znudzić?

— Alboż go znasz, że cię to zadziwia? zagadnął zaintrygowany ojciec.

— Nie znałam go nigdy — nigdym go nie widziała przedtem, lecz dziś gdy oczekiwał was drogi ojcze, z panią matką przyjmowałyśmy go obie w tej komnacie. I z rozmowy jaką ze mną prowadził, bardzo dobre powzięłam o nim wyobrażenie. Jak zobaczycie jego ołtarz do kościoła Panny Maryi przeznaczony, zapewne i wy drogi ojcze zmienicie o nim swoje przekonanie.

Burmistrz potrząsł głową na to ujęcie się córki za Witem.

— A jaki przytem skromny! dokończyła córa.

— Rzeczywiście, rzeczywiście, mówił potakując niby ojciec, ale widzisz moje życie, z tem wszystkiem nie tak łatwo poznać człowieka od razu, z jednej rozmowy. Beczkę soli mościapanno, beczkę soli zjeść nam wprzódy z drugim trzeba, nim poznamy go do gruntu.

— Ja nie chwalę się drogi ojcze, odpowiedziała na to, rumieniąc się ze skromności Zosieńka, (a ślicznie jej było z rumieńcem) żebym już znała tego młodego szczerza — ale i wy, mój ojcze, moglibyście z słów jego poznać, jakie ma serce, jaką skromność, i jak jest wszystkim ulegający. O cóż was prosił, drogi ojcze?

— Prosił o wyznaczenie biegłych w sztuce, którzyby ten ołtarz jego ocenili.

— Niewątpię drogi ojcze, iż prędko uczynicie zadość prośbie tego uczciwego młodzieńca.

— Zrobi się to zrobi; odpowiedział złośliwie domyślający się burmistrz, gdy wtem dało się słyszeć stukanie do drzwi — i Zosia pobiegła nowemu gościowi drzwi otworzyć. Był nim pan Jan Strengel, spekulant i przedsiębiorca, zamieszkały od lat kilkunastu w Krakowie. Zosia nie lubiła jego odwiedzin, powitawszy go więc tylko przez grzeczność, oznajmiła, iż ojciec jej jest sam i przyjmuje. Pan Johann, jak go zwała pani burmistrzowa, wszedł, a raczej wskoczył do komnaty pana Jacentego, a przywitawszy się z nim bardzo serdecznie, wtłoczył się na krzesło, zwinąwszy się jak glista patykiem trącona. Pan Jan Strengel, była to maleńka, dość szeroka w ramionach figurka, trochę z niemiecka, trochę z polska przystrojona. Nosek miał pan Jan dość spory, wschodniego rysunku, więc zgięty po orlemu, oczka migotające się jak dwie główki szpilek na czarnym tużurku przy świecy — włosy czarne kręte, filuterskie, rzęsy i faworyty także czarne, wąsów nie miał. Rączki cieniutkiemi zaopatrzone paluszkami były do figurki wcale nieproporcyonalne — były za długie; nóżki zaś krótkie, harmoniowały z resztą figury. Nic nie było pocieszniejszego nad widok pana Jana śmiejącego się — wtedy cała jego żółtawo-brudna twarzyczka marszczyła się w tysiące smug i zmarszczków — a białe jak kreda ząbki wyglądające z pod niebieskawej wargi, nadawały całej postaci pewien charakter murzyński. Nieszczerość, spekulacya i oszustwo, — to trzy wyrazy jakie się wtedy na jego obliczu malowały.

Zobaczywszy go pan Jacenty, domyślił się od razu, że jakiś interes nowy sprowadza w dom jego pana Johana. Rzekł więc doń z powitaniem: Dzień dobry! cóż tam nowego?

— Są nowości, są, mówił gość maleńki, kręcąc się za każdem słowem, które z ustek swych wypuszczał.

— Cóż?

— Piękne widoki! Ale wielka tajemnica. To wyrażenie rozpoczynało każdy tak zwany *kunszacht* pana Jana, świadczyło ono zarazem o potrzebie ukrywania przedsięwzięć jego, o tych przedsięwzięciach także dając złe wyobrażenie. Nigdy one nie były czyste, jak nie była czystą dusza ich twórcy. Taić je musiano, jak zbrodnię. Dobre zamiary tylko mogą być ogłaszane światu.

— Wiesz przecie panie Janie, odpowiedział na te uwagi p. Wyrębski, że wszystkich twoich tajemnic dochowałem jak najświęciej.

— Chodzi tu o zyski wielkie, szepnął z cicha. Jego mość pan burmistrz będzie miał wkrótce wizytę młodego snycerza, która ma być przedmiotem naszego interesu.

— Czy Wit-Stwosz jest tym młodym snycerzem?

— Wit-Stwosz! zakrzyknął p. Johan.

— Ten już był dziś u mnie, i prosił o wyznaczenie biegłych w sztuce, którzyby otaksowali ukończony jego ołtarz.

— Był już? powtarzał kręcąc się p. Jan, nie rad, że jego nowinka nie była już prawdziwą nowinką. I cóżeście z tego panie Jacenty wywnioskowali dobrego?

— Ha! co można. Najprzód wnoszę aby się spieszyć z takiemi rzeczami.

— Dobry wniosek. Lecz cóż więcej? o rzecz chodzi, mości panie, o rzecz, to mówiąc ważył już w garści kupkę idealnych zysków, ukazując gestem ważność tej gruntownej rzeczy, tej postawy wszystkiego.

— Sądzę, iż z biegłemi w sztuce możnaby coś nadrobić.

— Jakimże tedy sposobem?

— Wysłać z niemi kogo z naszych.

— Kogóż?

— Hieronima i Antoniego, malarzy.

— I więcej nikogo?

— Ha! kogóżby?

— Choćby też i mnie?

— Ciebie?

— Alboż nie jestem miłośnikiem sztuk pięknych?

— Prawda.

— Więc pójdę i wszystko dobrze nakieruję — konsystorz przeznaczył już podobno summę za ten ołtarz, trzeba ją będzie znacznie okroić.

— Ale! zawołał wtedy pan Jacenty, uderzając się ręką po czole. Jakiż ja niedomyślny!

— A co? zapytał się intrygant ciekawie.

— Od godziny powinienem był domyśleć się doskonale jednej rzeczy, z niej zawnioskować najlepszą korzyść dla siebie — a nie przyszło mi na myśl dopiero teraz.

— Więc cóż? wołał coraz bardziej zapalający się Strengel.

— Wit tu był, widział się z moją córką, rozmawiał z nią i...

— I — kocha się w niej może?

— Tego nie wiem, ale że ona jakoś sobie w nim upodobała, to zauważyłem z rozmowy jej ze mną przed chwilą prowadzonej, w której gorąco trzymała stronę snycerza, wstawiając się prawie wyraźnie za nim, aby jak najsprawiedliwiej i jak najprędzej wszystko mu ułatwić.

— Doskonale! wybornie! wołał powstawszy p. Johan, i tulał się po komnacie, jak piłka rzucona z mocą i o ścianę odbita.

— Mam jednakże skrupuł, mówił nieco rozważniejszy burmistrz, bo ojciec, i choć widzę, *żeby dobrze było*, urzeczywistnić ten plan, który się w niej i twej głowie teraz narodził, jednakże sumienie wzbrania mi jąć się takiego podstępu, którzyby z córki mojej zrobił narzędzie naszych widoków.

— Głupi przesąd! posłuchaj jeno mnie, a z drugiej strony spojrzyj na rzecz, to cała ta płonna obawa pierzchnie. O kogóż tu chodzi? O Wita. Czemże ten Wit? prostym rzemieślnikiem, nawet nie wyzwolonym jeszcze, z stanu niskiego — jakiś nawet podejrzany; że tam umie dłutem rznąć drzewo, to i cała parada — o niego troszczyć się wcale nie przystoi tobie tak ważnej przecie osobie. A córka pobawi się — i kwita. Tażby mnie o pannę Zofię chodziło także — wszak jest mi już przez ciebie przyrzeczoną — jest więc już jak gdyby moją, i gdybym widział, że się przez to na cobądź naraża, pewnobym cię nie tylko nie namawiał, ale owszem powstrzymałbym cię od podobnego poświęcenia najdroższego memu sercu klejnotu.

Te słowa wymówił p. Strengel z taką obłudą, z takim fałszem, że nawet i sam burmistrz, wierzący bardzo w charakter p. Jana, musiał na chwilę zwątpić o jego prawości. Umiał się jednakże układać fałszywy doradzca — i zrobił zaraz taką minę, jakby mu się na płacz zbierało. Burmistrz powrócił do stanu adoracyi swego przyjaciela.

— Jakże więc ułożyć ten interes, zapytał się pana Jana.

— Bardzo łatwo, cmokając gadał zięć przyszły pana burmistrza, rozmówić się tajemniczo z córką, zgromić niby za miłość niestósowną, po chwili dać się niby ułagodzić, na pół zezwalać, zezwolić nareszcie — i podszepnąć jej nieznacznie, że przed ślubem Wit będzie jeszcze musiał jechać za granicę, że dobrze by było, aby ołtarz, który biegli w sztuce tak nisko ocenią, iż nigdy na jego sprzedaż Wit nieprzystanie, aby ten ołtarz zostawił jej kochanek w upominku. Będzie to podarunek godny swego dawcy, autor zrobi nim przysługę Bogu i narodowi — a serce kochającej go dziewicy prawdziwą napełni rozkoszą. Można też napomknąć córce, iż otrzymanie tego ołtarza na własność, będzie niejako warunkiem zezwolenia rodzicielskiego. Zresztą Jejmość pani dopomoże nam zapewne w tym względzie.

— A gdyby córka nie chciała się podjąć zrobienia tej propozycyi Witowi, zagadnął obliczaniem swych zysków tłumiący głos swego sumienia ojciec.

— W takim razie, tłomaczył p. Johan, z naszej strony musi ktoś samego Wita uwiadomić o warunku, jaki ty położyłeś do zezwolenia na ich połączenie ze sobą.

— Wyborny z ciebie człowiek mój Johanie! przechodzisz burmistrza w dowcipie.

— Chodzi tu i o moją skórę, wszak będę należał do części zysku.

— Do połowy bracie, do połowy.

— Jeno tajemnica!

— Bądź spokojny.

— Spiesznie więc do dzieła. Biegłych w sztuce wyznaczyć jak najprędzej, Wita zbliżać z Zofią o ile możności najczęściej, i przyspieszać co sił stanowczą chwilę rozwiązania intrygi.

— Zrobię jak każesz, widzę bowiem iż rady twoje są rozsądne.

— Ja zaś pospieszę robić przygotowania. Bywajcie zdrowi panie burmistrzu.

— Bądź zdrów poczciwy przyjacielu. Uściskali się, i Jan wyleciał jak kamyk ze skórzanej procy.

Burmistrz stał jeszcze chwilę z myślami po odejściu swego Kalimacha, zatarłszy nareszcie ręce rzekł sam zadowolniony do siebie: *Dobrze by to było!* — I wyszedł do żony.

(C. d. n.)

WYPRAWA
po guwernera i guwernantkę,

w 6ciu scenach

(podsłuchane).

(Ciąg dalszy).

Scena IIga

(rozmowa we francuskim toczyła się języku).

Pani Sewerynowa, Juliusz i Eliza *(jej dzieci).*

Eliza *(wieszając się na ramieniu matki).* Słyszałam mamciu, że wyjeżdżamy dziś do Krakowa?

P. Sewerynowa. Tak moje dziecię, wyjeżdżamy z papą, myślę jednak, że wy pozostaniecie w domu.

Eliza. Zostanę albo niezostanę.

P. Sewerynowa. Kiedy widzisz serduszko w drodze mogłabyś się opalić, a tyś taka ładna, taka bielutka, rozpłakałabym się nad tobą widząc cię opaloną, i w czemkolwiek zbliżoną do tych ludzi, których niższość cechuje nawet już sam kolor ich skóry.

Eliza. Ja jednak słyszałam od papy, że tam w tym mieście mają być bardzo piękne kościoły, że w jednym właśnie spalonym klasztorze ma być odpust z procesyą, na której można tysiące obaczyć ludzi, a nawet i z naszej wsi widziałam dużo wieśniaczek tam poszło — wielką więc mam ochotę.

P. Sewerynowa. A któż to widział włóczyć się po odpustach panienkom tak wysoko urodzonym? Odpusty kochanie, to dla ludu, dla chłopstwa, ja jeźli czasem znajdę się na odpuście w naszej parafii, to tylko dla tego, aby niedać ludowi złego przykładu, żeby zapatrując się na mnie bał się Boga, bo inaczej okradłby nas i zrabował do reszty. Zostań więc, zostań serduszko— przywiozę ci za to Paryżankę.

Juliusz *(rozpierając się w kozetce).* Czy Eliza pojedzie, czy nie, to mi wszystko jedno, ale ja pod żadnym niezostanę warunkiem.

P. Sewerynowa. Czy tak na seryo zdecydowałeś?

Juliusz *(nucąc pod nosem piosnkę francuską).* Już powiedziałem.

P. Sewerynowa *(całując Juliusza).* Wrodziłeś się we mnie Juliuszku, będziesz człowiekiem: *comme il faut.*

Juliusz *(chuśtając się w kozetce).* Czy też nie lepiej by było pojechać do Paryża, o którym mamcia często z takiem rozpowiada zajęciem, aniżeli do tej lichej mieściny jak ją mamcia nazywa?

P. Sewerynowa *(z westchnieniem).* Do Paryża! tak do Paryża! tam to dopiero nabiera się tej maniery i tego poloru, którym nasza odznacza się sfera; tam to dopiero otrząsamy się z parafiańszczyzny, której w kraju ustrzedz się niepodobna.

Juliusz *(przerywając).* Dla czegoż więc nie jedziemy?

P. Sewerynowa *(z żalem).* Są wielkie i bardzo wielkie przeszkody.

Juliusz *(porywczo).* Zapewne papa się temu sprzeciwia?

P. Sewerynowa *(ściskając Juliusza).* Jakiś ty domyślny, mój kochany Juliuszku, niechże cię za to uściskam.

Juliusz. To ja nakładę papie w uszy, i przekonam o koniecznej potrzebie odwiedzenia Paryża.

P. Sewerynowa. O to tam mniejsza, ale widzisz drogi Juliuszku, że pierwej jeszcze wypada ci się nauczyć po angielsku i tańczyć doskonale lanciera, a przedewszystkiem musisz nabyć pronuncyacyi paryskiej, po co też właśnie udamy się do Krakowa, gdzie znajdziemy bezwątpienia jakiego Anglika i jaką Paryżankę.

Juliusz. Więc ja miałbym się jeszcze uczyć? Wszakże zdaje mi się, że jestem już jakby rodowitym Francuzem, nieraz nareszcie słyszałem od mamci, że więcej mi nie potrzeba, że bez nauki się obejdę, bo z niej chleba mieć nie będę, że i tak zajmę wysokie stanowisko w świecie — że nareszcie do nauki i pracy innych Pan Bóg stwarza ludzi.

P. Sewerynowa. Temu drogi mój Juleczku i dzisiaj nie przeczę, tylko że ty niewyobrazisz sobie, jak się to potrzeba rumienić, jak to śmieszy, jeźli ktoś w naszej sferze w pronuncyacyi się pomyli. — Rok więc jeszcze cierpliwości moje ukochane dzieci, a nieomieszkam zawieść was do Paryża, do tego czarodziejskiego miasta, którego sam już widok, w życiu waszem stanowić będzie epokę. Nieróh więc Juliuszku twojemu ojcu wyrzutów, który w ostatku na wszystko zgodzić się musi, jako niemający prawa ani do ciebie ani do majątku.

Juliusz. Będę więc jeszcze ten rok cierpliwym.

P. Sewerynowa. Niechże cię ucałuję Juliuszku, a teraz kiedy już koniecznie chcesz poznać Kraków, to idźmy przygotować się do podróży. *(C. d. n.)*

TEATR.

We wtorek d. 21go b. m. mieliśmy dramat „Eudoksya Czartoryjska“ w 6ciu odsłonach p. Ładnowskiego. Możnaby powiedzieć, że całą jego wartością są polskie ubiory, bo ani kolorytu owego wieku, ani charakteru jakiegokolwiek historycznego, ani intrygi dramatycznej dopatrzyć się w nim nie można. Jestto tylko gadanina rymowa, przeplatana fraszkami (jak np. sąd Hana Geraja) i ckliwemi słowami (jak np. Eudoxyi słowa przy zwłokach oblubieńca). Eudoxya tylko zajęła, a to głównie dla tego, że była w złocistej zbroi, z pałaszem w ręku, a kobieta orężna wywiera zawsze jakiś szczególny urok.

We czwartek 23go, na benefis p. Ant. Hoffmann dano „Bilecik miłosny“, komedyą Benedixa, tłom. Bołoza Antoniewicza. Gdyby tę komedyę 3ch aktową zebrać w jeden, gdyby rozwiązanie intrygi nie było tak pospolite, bo oparte na podsłuchiwaniu rozmowy, którą koniecznie trzeba było słyszeć, gdyby wreszcie i to . . . i owo, toby była komedya nie tak unudziła. Zawsze jednak gra beneficyantki, p. Bendy i Królikowskiego, potrafiła miejscami zachwycić. W niedzielę "Trzydzieści lat, czyli życie Szulera“, podobno ostatnie przedstawienie przed feryami teatralnemi. Życzymy teatrowi szczęścia, żałując go zarazem że wiecznie koczować musi, spodziewamy się jednak, że ferye niepotrwają dłużej nad czas w którym rzeczywiście Dyrekcya utrzymać się tutaj nie jest w stanie.

Wiadomość literacka.

W *Pradze* (czeskiej) od 8go kwietnia wychodzi pod redakcyą Antonii Körschner, pismo belletrystyce i modom poświęcone, i jak się z trzech numerów do nas nadeszłych wnosić daje, płeć piękną głównie na uwadze mające p. n.: *Łada*, co oznacza sławiańską boginię piękności i porządku. *Łada* wychodzi dwa razy na miesiąc 8go i 24go, w objętości 1½ arkusza, i prócz tego dołączać będzia na rok 4 wzory mód, 20 arkuszy deseni i 4 arkusze form krawieckich. W dwóch numerach zeszłego miesiąca zachowanym jest plan redakcyi bardzo do naszego zbliżony. Są więc niejako wstępne historyczne artykuły z tytułem: „Z naszego świata“ — są małe, i nawiasem spomnim miłe poezyjki, jest powieść Gustawa P. Morawskiego pt. Emma, są artykuły o wychowaniu, pobieżny artykulik o Leszczyńskiej i w końcu jest *feuilleton* zawierający bądźto drobniejsze artykuły treści moralnej, bądź wiadomości z życia sławnych autorek itp. Do każdego numeru dodany jest osobny półarkuszek nazwany „praktyczną częścią Łady“, w którym opisane są mody, desenie i formy, oraz znajdują się artykuły treści gospodarskiej. Układ i plan pisma zapowiada *Ładzie* powodzenie, zwłaszcza co do strony jej praktycznej. My robiąc to o nowem czeskiem piśmie doniesienie, cieszym się, iż nasza *Niewiasta*, podobna celem i planem *Ładzie*, wyprzedziła ją o dwa kwartały — lubo możemy tu spomnieć nawiasowo, że egzystencya jej dłuższa lub krótsza od *Łady* tylko od szanownych prenumeratorek zawisła, do których tem śmielej się teraz odzywamy, iż je do dalszej przedpłaty w tej myśli zaprosić możem, iżby nie dały polskiemu płci pięknej poświęconemu pismu przynajmniej wprzód upaść od czeskiego, które później od naszego wychodzić zaczęło. Od powiększenia się liczby prenumeratorek, zawisło także ulepszenie i w naszej *Niewieście* strony praktycznej. Raczą bowiem szanowne czytelniczki uwzględnić, iż u nas nie tak łatwo i nie tak tanio idzie wykonanie litograficzne takich np. wzorów, deseniów itp. jak w Pradze. Pomimo to jednakże postaralibyśmy się o zaspokojenie i tej strony *Niewiasty*, gdyby tylko same czytelniczki swą chęcią do tego się przyczynić zechciały.

Sprostowanie:

W Nrze 15ym, w artykule: O Wychowaniu, str. 2, szpalta 2, wiersz 31 od dołu: zamiast: *dramatycznych*, czytaj: *drastycznych* środków itd.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**